



POWIEŚĆ

osnuta na tle ostatnich wypadków w Królestwie Polskiem.

NAPISAŁ

JERZY SWOBODA.

11

(Ciąg dalszy).

— Dobrze wam będzie — zauważył Waldman — gdy fabrykanci ustąpią wam na spółkową własność fabryk i maszyn, a to da się osiągnąć tylko przy wspólnej pracy robotników niemieckich, rosyjskich i innych. Wrogiem waszym i naszym jest tylko kapitalista i fabrykant.

Obydwaj spojrzeli porozumiewawczo na siebie, a po chwili Płużek, zapaliwszy drugiego z rzędu papierosa, zaczął z uśmiechem dobrotliwym.

— Młodzi jesteście, nie znacie nas, nie znacie kraju naszego... My z fabrykantami damy sobie w mig radę... zmówią się wszyscy i powiadamy do niego: albo, albo... to nie sztuka żadna.

— Czemuż nie robicie tego? — zawołał Waldman.

— Zaraz... toć przecie i fabrykant człowiek i tylko to może zrobić, co w jego mocy. My chcemy mieć własną kasę, fabrykant powiada, dobrze; my chcemy rozjemczych sądów robotniczych, on się godzi na to; my chcemy naszej szkoły, on chce dodać jeszcze na utrzymanie; my chcemy gromadnie się naradzić, i na to zgoda; my żądamy ośmiodziesiętnego dnia roboczego, ciężko mu, ale, jak inspektor fabryczny pozwoli, niech i będzie...

— To cud fabrykantów — zadrwił Schweiger — nigdy o takim nie słyszałem, i wy, towarzyszu, żartujecie.

— Ani mi się śni — wzruszył ramionami — bo też nie o jednej fabryce mówię, ale w różnych miejscach różne stawiano warunki, i jeden fabrykant zgodził się na to, inny na owo. I wiecie dlaczego nam nietylko że nie lepiej, ale coraz gorzej? To nie wina fabrykanta, ale Moskali. I póki Polski nie będzie, nie będzie dobra i szczęścia dla nas. To moje ostatnie słowo!

— A czy was polski fabrykant będzie mniej uciskał, wyzyskiwał, aniżeli niemiecki lub rosyjski? — zaśmiał się Waldman drwiąco.

Obaj spojrzeli na siebie z pewnem zdziwieniem i Różga, szukając słów, z pewnym wysiłkiem mówił;

— To na ten przykład... jest tak... otóż... jeśli człowieka, was, towarzyszu, dusi ktoś za gardło... albo nie... gdy wam kiszkę skręcają się z głodu, czy wtedy myślicie sobie, byłoby dobrze, abym miał lakiery, że, że kubrak wytarty, szkoda mi guzika, ej, chyba nie o takie fraszki dbacie — zaśmiał się wesoło — oddalibyście wszystko to za kęs chleba. Tak i my w naszym kraju okrutny głód cierpimy przez Moskale, usta nam zakneblowano, ręce związane. ani mówić, ani śpiewać, ani się gromadzić, ani rządzić, ani pomagać sobie, a wszystka niewola przez Moskale, i nietylko nas biedny naród tak męczy, gnębi, uciska, to też my, socjaliści, my Polacy, musimy najpierw wypędzić Moskale, wyzwolić Polskę, a wtedy pogadamy z fabrykantami.

— Polski chcecie, Polski?! — zawołał Schweiger

ger wzburzony — i co wam dała ta Polska, gdy była wolna, prócz niewoli i pańszczyzny?

— No, no — odezwał się głośno Płużek — wolnej Polski nie pamiętam i wy nie pamiętacie, o krzywdach mi wyrządzonych przez Polskę, ani ojciec, ani dziad, ani ja nie wiemy... ale dała mi ona religię, język rodzinny i kraj własny, a cóż ja jej dam za to? Siebie całego, aby była wolna.

— Wy bardzo dziwni socjaliści — przemówił z drwinami Waldman — trzymacie się religii, jak pijany płotu i chcecie jakiejś Polski, której niema i nie będzie.

Obydwaj zczzerwieni się, Różga zerwał się z krzesła, gruchnął kułakiem o stół i krzyknął:

— Ty nie wycieraj sobie gęby moją religią i moją Polską...

Porwali się Żalecki i Walczak, przystąpili do Różgi:

— Towarzyszu, spokoju...

— To tylko w rozmowie...

— Niechby to nie było w gościnie, przy kobietach, nauczyłbym szacunku dla religii i Polski — wołał podrażniony, wpatrując się w pobladłego Waldmana błyszczącymi oczyma. Odetchnął ciężko i usiadł na krześle.

— A mówiliście, że to towarzysze, że socjaliści — zrobił wymówkę Płużek Walczakowi.

— Bo i są nimi — bronił się.

— Hej, gdyby jaki socjalista przemówił tak w Warszawie... nie pozbierałby kości.

— To są pepeesowcy — szepnął z pogardą Walczak, rozumiejąc pod tem: polską partję socjalistyczną.

— Wiecie, towarzyszu — zaczął po chwili Schweiger — dotychczas mówiliście o waszych... osobistych przekonaniach, ale co zrobiliście dla partyi, dla socjalizmu? Czy agitujecie, czy organizujecie się?

— Ano, jak się czas wolny znajdzie — odpowiedział Płużek — to się powie temu i owemu znajomemu... a i organizacja jest, bo trzeba przecież naród przygotować, aby się zerwał jak burza, kiedy nadejdzie chwila przepędzenia Moskale.

Schweiger zmienił się na twarzy z oburzenia, co widząc Żalecki, rzekł:

— To tak... ale jakże względem fabrykantów, przemysłowców?

— Jedno drugiemu nie przeszkadza — uśmiechnął się — ta sama organizacja robi i strejk, jak trzeba i zmusi fabrykanta do ustępstw. To tylko bieda, że agitatorów, co się który pojawi, wyłupają Moskale, bo moc szpiegów mają... Ilu to ja sam znam, którzy pewno gniją gdzieś we więzieniu, albo na Sybirze? Pamiętacie, Tomasz, tego Jakóba od Bormana... ten umiał przekonać człowieka, żeby nie wiedzieć, jaki strachają, a przecież wszedł do organizacji.

— Pamiętam... to był człowiek, a śmiały, a odważny... szkoda go — westchnął.

— Cóż się z nim stało?

— Przepadł jednego dnia, jak kamień w wodę... tylko jeden z naszych, co siedział w cytadeli, mówił, że Jakób był w cytadeli, ale Bóg jeden wie, co z nim zrobili?

— Więc powiadacie, że tak chwytają agitatorów? — spytał Żalecki z błyszczącymi oczyma.

— Toż dla nich największa zdobycz — uśmiechnął się Płużek — bo agitator, to jakby maszyna we fabryce, jest ogień, jest para, cóż gdy maszyny brak... i stoi wszystko. Dlatego też kupa narodu nieoświecona, i boi się knuta moskiewskiego, bo myśli, że wszechwładny, a ludzkie ręce go zrobiły, ludzkie potrafią zniszczyć.

Przy tych słowach mimowolnie spotkały się oczy Żaleckiego, Olgi, Heleny i Walczaka. możność zbudzenia sił uspijonych i zniszczenia knuta zelektryzowała ich jednocześnie. Uśmiechnęli się do siebie, a Olga spytała:

— Towarzyszu Płużku, a broszury, odezwy, książki, są pomiędzy wami w obiegu?

— Mało... bardzo mało tego... jeśli kto ma, to uważa za skarb najdroższy, pilnuje jak oka w głowie, i tylko w największej tajemnicy podzieli się z przyjaciółmi. A co nas nasza gazeta kosztuje, ile ludzi zginęło, ile drukarni przepadło, ilu aresztowano za czytanie... tego nie zliczyć... a jednak zawsze jest i będzie, aż doczekamy się wolności.

— A wasze żony, córki, czy one podzielają wasze przekonania? — spytała Helena z pewną nieśmiałością.

Płużek zaśmiał się głośno i zwrócił się do towarzysza:

— Słyszycie, Tomasz?

— Nie głuchym przecież... i dziwne mi to pytanie, alboż kobieta nie cierpi, nie kocha, nie czuje? Im jeszcze gorzej, bo nas biją tylko i mordują, a ich hańbią i sromocą — kończył, groźnie zaciskając pięści.

— Nasze matki, żony, córki, to gorętsze od nas, aby tylko ich nie wstrzymać, z gołymi rękami poszłyby na bagnety. A pamiętacie, Tomasz, jak Błażejowa chciała się rozejść ze swoim, że porzucił kamrata w potrzebie.

— Co nie mam pamiętać?... O, nasze kobiety zawzięte i pamiętne. No, nie daj Boże — zwrócił się do Waldmana — abyście, towarzyszu, im tak powie, jak nam, czy by wam wydrapały. Ja! co prawda, uniosłem się, bo wy pewno tak źle nie myśleliście, jak wam się wymknęło... i za moje słowa ja was przepraszam, ale już taka gorączka ze mnie.

Wyciągnął przez stół swą wielką, spracowaną rękę, uśmiechając się życzliwie. Waldman podniósł się, podał rękę, mówiąc:

— Ja was, towarzyszu, szanuję za waszą szczerość i otwartość. Możemy być wrogami, ale nie przestanie was szanować.

— Dlaczegoż mamy być wrogami — zaśmiał się swobodnie — my przecież, towarzyszu, socjaliści, bracia i pragniemy jednego: złamać przemoc, przepędzić Moskale.

Waldman nachmurzył się, a Żalecki, uprzedzając jego słowa:

— Daliście nam, towarzyszu Tomasz, dobry przykład zgody... dzielny z was człowiek, oby takich więcej.

— Ho, ho, są godniejsi — uśmiechnął się, rad z pochwały — ja tylko prosty żołnierz, ale żebyście posłuchali dziesiętnika naszego... to głowa!